

II/493 t

© ARCHIWUM WSCHODNIE

605

Janina Alicja Kokoszko z domu Porzezińska

Urodziłam się 30 września 1926 roku. Do wybuchu wojny ukończyłam szkołę podstawową w Ciechanowcu. Ojciec mój Jan Porzeziński miał małą gospodarstwo 1,96 ha i w 1936 roku założył sklep sprzedaży mięsa surowego t.zw. jatkę.

Gdy wybuchła wojna miałam 13 lat i zdany egzamin do gimnazjum prywatnego w Warszawie.

I września o 5⁰⁰ rano obudziły mnie bomby spadające na Ciechanowiec. Nawet na szosie był atakowany rolnik, który wioził obornik na wozie. 8 września naloty zwiększyły się. Był moment przed wieczorem, że myślałam, iż rodzice moi są zabici z karabinu maszynowego. Strasznie bałam się i płakałam. Tatusz już zupełnie wieczorem poszedł do wojska, które stało w parku i dowiedział się od nich, że w tej dzielnicy, gdzie my mieszkamy możemy spać spokojnie, bo w sąsiedztwie była fabryka sukna niemiecka i mieszkało dużo rodzin niemieckich. Ale i ja i brat 3-letni nie chcieliśmy pozostać w domu i tatusz wysłał nas z mamusią w nocy na wieś.

Zapakowaliśmy trochę pościeli i ubrania na wóz i pojechaliśmy. 10 września była niedziela. Gospodarz, u którego byliśmy, wybrał się do Ciechanowca. Przyjechał do nas wieczorem i powiedział, że z tatusiem się nie widział, ale ktoś mu powiedział, że w mieście są już Niemcy. Na wai byliśmy kilka dni i wróciliśmy do domu.

Przez nasze miasteczko Niemcy jechali na wschód przez dwa tygodnie. Potem zaczęli wracać i w początkach października 1939 r. do Ciechanowca weszli sowieci. Granica została ustalona na Dugu i ta część Polski została włączona do Związku Radzieckiego, jako Zachodnia Białoruś. Zaraz na końcu października został aresztowany tatusz. Weszano go na policję i już do domu nie wrócił. Na drugi dzień zawieźli tatusia do Bielska Podlaskiego. Tam przebywał w areszcie kilka dni i w końcu został zwolniony. Po powrocie do domu zaczął się ukrywać w obawie przed ponownym aresztowaniem. W domu przebywał bardzo mało, przeważnie ukrywał się u kuzynów i znajomych w sąsiednich wsiach. Zima 39/40 była bardzo mroźna i ostra. Tatusz przeziębził się i wrócił do domu chory. Gdy poczuł się lepiej, poszedł do kościoła. Prawdopodobnie ktoś go wtedy zobaczył, bo zaraz w nocy przyszło NKWD. Był 27 lutego 1940 roku. Zrobili bardzo szczegółową rewizję. Tatusiowi nie wolno było się nawet poruszyć. Tatusz siedział, a nad nim stał żołnierz z karabi-

nem. Nie pozwolono tatusiowi nawet napić się wody. O godzinie 3 rano zakończono rewizję i pomimo tego, że nie znaleziono nic zakazanego, powiedziano, że tatuś jest aresztowany. Nie pozwolono nikomu z nim się pożegnać. Wybiegłam boso na śnieg i strasznie płakałam. Tatuś chciał zawrócić do mnie, ale odepchnięto go w jedną stronę, a mnie wrzucono do sieni i zamknięto drzwi.

Tej nocy aresztowano bardzo wiele osób: mego tatusia Jana Porzezińskiego, Ojca szwagra Zygmunta Manturę, Dybowskiego, Małyską, i kilku innych, których nazwisk nie pamiętam. Kilka dni siedzieli w areszcie w Ciechanowcu.

Żony aresztowanych przekupiły strażnika i mamusia wieczorem podkładała się pod areszt z koszykiem, w którym zapakowane było jedzenie i ten milicjant zanosił to aresztowanym. Mamusia leżała w śniegu w sąsiednim ogrodzie i czekała na koszyk.

4 marca 1940 roku NKWD wysłało aresztowanych do Białegostoku. Konwojował ich komendant milicji - Polak i mieszkaniec Ciechanowca, pan J.M. W Czyżewie na stacji nie pozwolił im nawet kupić sobie herbaty, a pieniądze aresztowanych były u niego w depozycie. Jakaś Żydówka kupiła w bufecie dworcowym herbatę i dała wszystkim aresztowanym.

Tatuś siedział najpierw w Białymstoku a później w Brześciu do lipca 1941 roku.

W międzyczasie przyjechała do nas siostra tatusia z córkami ze Lwowa, która stale mieszkała w Warszawie. Wyjechała z Warszawy na początku września, dotarła aż do Lwowa i potem nie mogła już wrócić do domu.

Od tatusia nie mieliśmy żadnej wiadomości. Tak przeżyliśmy marzec. Musiałam chodzić do szkoły. Cofnięto mnie do klasy szóstej. W szkole uczono jeszcze po polsku, ale wprowadzono też język białoruski.

13 kwietnia godzina I w nocy. Kołatanie w drzwi. Mamusia otwiera, wchodzi trzech sowietów. Jeden siada przy stole i odczytuje mamusi, że z paragrafu takiegoż to a takiego zostajemy wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego. Namy dwie godziny na zapakowanie rzeczy. Co można zapakować w zdenerwowaniu przez dwie godziny? Z mieszkania do spiżarki nie wolno było wyjść, na strych też nie, ani do sieni. Jak prawie u każdego w tamtych czasach, był u nas kufer i co w nim było oraz na prądce dopakowaną pościel zabraliśmy ze sobą. Mama sama się nawet dobrze nie ubrała. Ja natomiast wszystko, co miałam włożyłam na siebie i ubrałam również brata Zdzicha. Razem z nami zabierali i ciocię z córkami. Rzeczy załadowali na wóz, a myśmy wszyscy szli koło wozu.

Po drodze widzieliśmy, że wywożą również mamusi siostrę Julię

Manturo z trojgiem dzieci: Ireną, Teresą i Jerzym. Tak nas doprowadzili do rynku do autobusu. Ciocia z dziećmi, ja i brat oraz wiele innych osób jechaliśmy autobusem, a mamusia z rzeczami wozem. Dowieźli nas do stacji Czyżew. W Czyżewie zapakowali nas do towarowego pociągu, w którym były porobione prycze z desek. Na stacji jedna z cioci córek zaczęła się wyklócać ze strażnikami, że są uciekinierkami przed Niemcem, że przyjechały do nas tylko w gości a mieszkają we Lwowie. Sowieci po sprawdzeniu, że nie było ich na liście do wywiezienia, zostawili ciocię z córkami, a razem z ciocią został mój brat. Ciocia czekała na furmankę, żeby zabrać swoje rzeczy. Jak mamusia przyjechała z rzeczami, ja byłam już zamknięta w wagonie. Rzeczy nasze władowali do wagonu, a mamusia chciała pożegnać się z ciocią i synem, którego miała zostawić z ciocią. Jakiś sowiet zapytał, czyje to dziecko i mamusia przyznała się, że to jej syn. Wtedy on mówi: "tam tatuś będzie". Gdy to Zdzicho usłyszał, nie było mowy o pozostawieniu go. Narobił takiego krzyku i płaczu, że chce jechać z nami do tatusia, aż pod wagonem zrobiło się zbiegowisko. Nie było możliwości uchronienia go od wywiezienia. Tak załadowywali wagon za wagonem. W naszym wagonie jechało bardzo wiele osób z Ciechanowca: pani Tobolczykowa z dwoma synami, pani Bachórzewska z córką, pani Wojnowa z synem, pani Wasilewska, pani Falkowska z córką i synem oraz dwoma wnukami, pani Bartosiakowa z dwoma synami, i córką, pani Krajewska z dwoma synami i córką i jeszcze inne rodziny ze wsi, których nie znałam i nie pamiętam ich nazwisk. Panią Falkowską chcieli wywieźć tylko z wnukami, ale syn i córka powiedzieli, że jadą razem z matką.

Mąż pani Tobolczykowej był sędzią, pani Bachórzewskiej miał małą fabryczkę narzędzi rolniczych, pani Wojnowej był za granicą t.zn. na terenach zajętych przez Niemców, pani Wasilewskiej też chyba jeszcze nie wrócił z wojska, natomiast pani Falkowska opiekowała się wnukami, ponieważ jej córka nie żyła, a zięć policjant - pan Siennicki też jeszcze nie wrócił z zawieruchy wojennej, pan Bartosiak miał sklep win i wódek, a pan Krajewski był wójtem w gminie.

Jeszcze na stacji w Czyżewie dowiedzieliśmy się, że wywieźli również jeszcze jedną siostrę mamusi Zofię Niewiarowską z córką Zofią i synami: Tadeuszem i Januszem.

W Białymstoku doładowali do nas jeszcze dwie rodziny: panią Klauzową z dwojgiem dzieci i rodzicami, panie Wojtiulowe, pana Fuxsa z rodziną.

W czasie jazdy, jak zwykle w takim tłoku, były i sprzeczki i spory. Brat mój przez kilka dni chował chleb i co tam jeszcze dostawał